

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

2) Tłum. z francuskiego.

Z lewej strony wznosiła się fabryka powozów z olbrzymim, trójkątnym, oszklonym dachem. Mur, otaczający fabrykę, graniczył z ogródkiem tajemniczego domu. Z prawej strony znajdował się duży garage automobilowy, rodzaj olbrzymiej, drewnianej szopy. Jedno spojrzenie wystarczyło dla przekonania się, że ciało barona nie mogło być przeniesione ani przez teren fabryczny, ani przez garage. To też agent nie zatrzymywał się tu dłużej i zorientowawszy się szybko, okrążył garage i wszedł na ulicę de la Santé. Róg tej ulicy z bulwarem Augusta Blanqui zajmował dom ubogich, założony przez barona du Collet, który o kilka kroków stąd zginął tragiczną śmiercią. Inspektor Staub nie miał żadnych wątpliwości, że barona zamordowano.

Wśród ogromnego parku, na czworoboku, utworzonym przez bulwar Blanqui, ulicę de la Santé, Broca i de la Glacière, wznosiły się zabudowania domu dla ubogich, nowo założonego, wspaniale urządzonego, z pawilonami dla chorób zakaźnych i laboratorium, którego dyrektorem był dr. Vanesco, jeden z najślawniejszych lekarzy Paryża. Zakład otoczony był murem i wspaniałą kratą z kutego żelaza.

Doszedłszy do ulicy Humboldta, Staub skreślił znowu i przeszedłszy kilkanaście kroków, zauważył, że garage tu się kończy, ustępując miejsca parowemu tartakowi. Z drugiej strony ulicy wznosiły się po tężne mury więzienia de la Santé. Między tartakiem i warsztatem mechanicznym ciągnął się niski mur z żelazną kratą w kształcie włóczni. W głębi, za kratą, widać było niewielki pawilon, pokryty czerwona dachówką. Do niego właśnie zmierzał Staub.

Na ogłós dzwonka drzwi się otworzyły i ukazała się w nich twarzyczka dziewczynki od siedmiu do ośmiu lat.

Staub uchylił kapelusza i zapytał najstodszym głosem, na jaki go było stać:

— Czy twój tatuś jest w domu, maleńka? Chciałbym się z nim zobaczyć...

Ale dziecko, wystraszone, zamknęło szybko drzwi, krzycząc piskliwym głosem:

— *Ich verstehe nicht!*

— Ha... hm... — mruknął Staub z lekkim uśmiechem — niemiecki dom... Coraz lepiej... Zresztą można się było tego spodziewać.

I po raz drugi nacisnął guzik dzwonka.

Tym razem w oknie pierwszego piętra ukazała się głowa mężczyzny.

Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem agenta, mężczyzna zapytał ze złością, ostrym głosem z silnym niemieckim akcentem:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panem — odparł Staub czystą niemiecką z najbardziej ujmującym uśmiechem.

Pragnął usposobić jak najlepiej tego jegomościa o twarzy buldoga, którego niebieskie oczy nie były zresztą pozbawione inteligencji. Dodał więc głosem jak miód słodkim:

— Czy zechce mi pan wyświadczyć łaskę i wpuścić do domu?

Niemiec nie zdawał się być wcale wzruszonym grzecznością ani dźwiękiem rodowitego języka. Zachowując wyraz twarzy odporny i niedowierzający, odparł niezadowolonym tonem:

— Jeżeli w sprawie ubezpieczenia, to niepotrzebne...

Staub zaprzeczył gestem.

— W takim razie, po co?

— Proszę mi pozwolić wejść, a wyjaśnię panu, o co mi chodzi. Sprawa jest zanadto poważna, żeby mówić o niej na ulicy.

Agent powiedział to tak przekonywującym głosem, że Niemiec ustąpił. Zamknął szybko okno i w parę chwil później jego twarz z niedowierzającym spojrzeniem ukazała się w otwartych drzwiach pawilonu. Obejrzawszy jeszcze raz Staubą od stóp do głów — wprowadził go do niewielkiej jadalni. Wejście ich wypłoszyło z pokoju cztery dziewczynki w różnym wieku.

— Pańskie dzieci? — zapytał Staub.

— Tak... moje córki... — odparł Niemiec. — Zdaje mi się jednak, że pan nie po to tu przyszedł, żeby mówić o moich dzieciach... Przedewszystkiem, kim pan jesteś? Ja się nazywam Leymann... Karol Otto Leymann, urodziłem się w Brandenburgii,

w Prusach jestem paryskim korespondentem gazety *Koelnisches Volksblatt*. Na pana kolej!

— A ja — odparł Staub, czując, że musi odkryć swe karty, żeby zapewnić sobie powodzenie — ja nazywam się Franciszek Staub i jestem detektywem.

— Detektywem! — krzyknął Leymann zrywając się.

— Do pańskich usług! — ciągnął agent, zadowolony z efektu, jaki wywołało jego oznajmienie. Należę do drugiej brygady służby bezpieczeństwa.

— Moje papiery są w porządku, nie mam żadnych zatargów z policją — zawołał Niemiec, może zbyt żywo.

— To też — odparł Staub z uspokajającym gestem — to też nie to jest celem mojej wizyty.

— W takim razie — zapytał Leymann z lekkim niepokojem — czego pan sobie właściwie życzy?

— Wyjaśnię to w paru słowach: w domu, znajdującym się z tyłu za pańskim ogrodem popełniono ubiegłej nocy zbrodnię, towarzyszyły temu okoliczności tego rodzaju, iż niepodobna, żeby pan cokolwiek nie zauważył.

Mówiąc to, Staub patrzył przenikliwie w oczy Niemcowi, przypuszczając, że dostrzeże w nich zmieszanie.

Ale nadzieja omyliła go.

— Zbrodnia!... — powtórzył Leymann, nie odpowiadając na pytanie.

I jakby chcąc się uwolnić od denerwujących go spojrzeń agenta — począł przechadzać się po pokoju.

— Więc czegoż pan odemnie żąda? — zapytał wzruszając ramionami.

— Chcę tylko, żeby mi pan powiedział, co pan wie... Powtarzam — niepodobna, żeby pan nic nie zauważył.

— Nie rozumiem! Jakże mam wiedzieć, co się działo w domu oddalonym o pięćdziesiąt metrów od mego mieszkania, szczególnie na noc zamkniętego?

— Ale mógł pan słyszeć lub widzieć, co się działo w pańskim ogrodzie, pod oknami pańskiego domu.

— W moim ogrodzie? pod moimi oknami? — krzyknął Niemiec z przerażeniem.

— Bez wątpienia — gdyż wtedy właśnie przenosił morderca ciało swej ofiary, przebywszy z nim mur graniczny.

— W jaki sposób pan się o tem dowiedział?... — O, to bardzo proste — odparł Staub z uśmiechem. Ja...

Nie czekając na wyjaśnienie — ku wielkiemu zdziwieniu agenta Niemiec podszedł do drzwi otworzył je i krzyknął:

— Elza! Liza! Truda! Hilda! Greta! chodźcie tu! — Korowód kobiet wszedł natychmiast do pokoju. Na przedzie kroczyła pani Leymann, niska okrągła osóbką, która kiedyś musiała być piękną, twarz miała sympatyczną, chociaż szpeciły ją od czasu do czasu lekkie nerwowe drgawki. Za nią szły cztery córki według wzrostu, wszystkie jasne blondynki w wieku od piętnastu do ośmiu lat.

— Elzo! — rzekł Leymann — ten pan jest detektywem... Pani Leymann krzyknęła lekko z przerażenia — okrzyk ten powtórzyły panienki, jak echo.

— Tak — jest detektywem — ciągnął Niemiec — i twierdzi, że w domu naszych sąsiadów na bulwarze popełniono zbrodnię i że zbrodniarz przeniósł ciało przez nasz ogród!

— Przez nasz ogród! — krzyknęła pani Leymann, wznosząc ręce ku niebu i błędąc gwałtownie.

— Jeżeli pani mi pozwoli — pośpieszył wtrącić się Staub z eleganckim ukłonem — to przedstawię dowody, że tak się stało.

— I gdzież pan znajdzie dowody? — zapytał Leymann nawpół niedowierzająco, nawpół ironicznie.

— Ależ w pańskim ogrodzie właśnie...

— Ach tak? Jestem bardzo ciekawy...

— Jeżeli pan sobie życzy — mogą je zaraz wskazać.

— Chodźmy do ogrodu — zawołał Niemiec, otwierając drzwi — za nim wyszli wszyscy.

Ogród Leymannów był niewielki. W środku znajdował się owalny klomb z kwitnącymi chryzantemami, klomb otaczały dwie aleje wysypane drobnym piaskiem; — dookoła murów biegly grzedy, w których kwitły rododendrony i begonie. Przed pawilonem znajdowała się pompa i buda dla psa.

Kiedy cała rodzina Leymannów znalazła się w ogrodzie, Staub wziął pod rękę Niemca, bardzo podnieconego i wskazując mu ślady stóp na piasku, zapytał go nagle:

— Czy to są ślady pańskich nóg?

— Bez wątpienia — odparł żywo Leymann.

— Ja sądzę przeciwnie.

— Dlaczego? Spójrz pan na moją nogę, nie jest maleńka, co?

I dodał, wskazując mniejszy ślad:

— ...A oto jest ślad nogi żony.

— Sądzi pan? — zapytał powątpiewająco Staub.

— Do diabła! — krzyknął Niemiec. — Zaraz pana przekonam.

I odwróciwszy się, postawił stopę na odcisku. Ale śladu nie przykrył, stopa jego była znacznie mniejsza od stopy przypuszczalnego mordercy.

— To dziwne! — rzekł, skrobiąc się w głowę, w najwyższym zakłopotaniu.

— No, a teraz ty, Elzo! — dodał po chwili.

Tym razem odcisk był mniejszy i stopa pani Leymann pokryła go zupełnie.

— No i cóż pan na to? — zapytał Staub z tryumfem.

— Niech mnie dyabli porwą, jeżeli rozumiem cokolwiek! — mruknął Leymann. — Widocznie było, jak pan mówi, ktoś przechodził wczoraj przez nasz ogród.

— Powtarzam to panu od godziny blisko.

— A jednakże, nie... — przerwał Niemiec. — To niemożliwe. Sznaps, mój pies, często szczeka bez powodu, ale gdyby ktoś obcy ukazał się w ogrodzie, narobiłby takiego piekielnego hałasu, że pobudziłby nie tylko nas, ale wszystkich sąsiadów.

— Gdzież jest ten pies? — zapytał go żywo Staub, uderzonym tym szczegółem.

— Rzeczywiście — odezwała się pani Leymann — gdzie jest Sznaps, nie widać go od rana.

— Pewno śpi w budzie, leniuch — odparł Leymann i począł wołać: „Sznaps! Sznaps! Sznapsik! Chodź tu! Sznapsik!

Sznaps nie pokazywał się. Pani Leymann zwróciła się do najmłodszej córki:

— Wyprowadź go z budy, Greto. Może się boi.

Dziewczynka schyliła się i włożyła rękę do budy. Po chwili krzyknęła:

— Nie mogę, mam! Jest bardzo ciężki i nie chce się ruszyć.

— Poczekaj! — zawołał Leymann, podchodząc. Odsunął córkę i sam włożył rękę, chcąc uchwycić psa za obrozę. Ale w tej chwili zaklął straszliwie.

Biedne zwierzę było już zimne. Leżało martwe z wywieszonym językiem i szklistymi oczami.

— Oto dlaczego — rzucił Staub spokojnie — oto dlaczego pies państwa nie szczekał. Struto go.

— Ma pan słuszość — rzekł Leymann, podnosząc głowę. — Ale w jakim celu?

— O której godzinie położyli się państwo wczoraj? — zapytał Staub, nie odpowiadając na pytanie.

— Mogę panu powiedzieć dokładnie — rzekła Niemka — gdyż gasząc lampę, słyszałam, jak na wieży kościelnej biła dziesiąta.

— Dobrze. A o której zwykle państwo się kładą?

— Zawsze o dziesiątej. Prowadzimy bardzo regularne życie. Z ostatniem uderzeniem dziesiątej, wszystkie światła w domu gasną.

— Doskonale. W taki sposób sąsiedzi państwa wiedzą o tem, że po dziesiątej można spokojnie przechodzić przez ogród. Jedyną przeszkodą w tego rodzaju przedsięwzięciach był pies. Więc go struto. To bardzo proste.

— Biedne psisko!... — odezwały się z żalem panienki.

— Widzę... widzę... — mruknął ich ojciec — że dowodów jest coraz więcej. Więc pan istotnie przypuszcza...

— Przypuszczam, że prawie niemożliwym jest żeby państwo nic nie słyszeli — odparł Staub, patrząc na Niemca przenikliwie.

Agent trzymał się swego podejrzenia, że ci ludzie grają komedję. Ale nie mógł zdobyć żadnego dowodu: czy Niemiec doskonale utrzymywał się w roli, czy też mówił zupełnie szczerze, dość, że odpowiedział spokojnym i naturalnym tonem.

— Proszę pana, kładę się do łóżka, żeby spać. To też zasypiam od razu i śpię bardzo mocno. Można mi strzelać nad głowę, a nie obudzę się.

— Ja także — wtrąciła się pani Leymann. — Mam kamienny sen... Jednakże... zdaje się, tak, zdaje mi się, że słyszałam turkot automobilu, który zatrzymał się koło naszego domu i po chwili odjechał.

— Automobil? — krzyknął agent, otwierając szeroko oczy. — Czy pani jest tego pewna?

— Musiał ci się śnić — mruknął Niemiec. — Automobile rzadko bywają na naszej ulicy.

— Jednakże to jest możliwe — odparła żywo pani Leymann.

— O której to godzinie mogło być? — zapytał Staub, pragnąc jasnej odpowiedzi.

— Może o pierwszej, może o drugiej, ale równie dobrze mogło być i o jedenastej — odparła